

Józef Baran

## Spadając, patrzeć w gwiazdy (51)

(fragmenty)



Początek sierpnia, na przemian słońce i deszcz, dobre i złe wiadomości. Mama zmarła się śmiercią „swojej młodszej koleżanki”, 90-letniej Knapowej z Borzęcina Dolnego. Szwagrowi „zrobił się” nowotwór na strunach głosowych, nie wiadomo czy łagodny, czy złośliwy. Córka Ewa, która jest w 8. miesiącu ciąży, trafiła do szpitala z komplikacjami. Zosia, przechodząca rehabilitację po operacji, została w Krakowie i trochę niańczy wnuka Kubusia. A ja wszedłem w rolę pułstelnika w Borzęcinie, siedzę, czytam, coś tam sobie popis(k)uję. Przeczytałem właśnie pasjonującą książkę Krystyny Kolińskiej o Jerzym Szaniawskim, milczku z Zegrzynka, wspomniałem dramaturga, kiedyś nie tylko moim ulubionym pisarzu, dziś niesłusznie jakby zapomnianym. Odnajduję w książce znajomą mi i drogą postać włoskiej krakowianki, malarki Carlotty Bologny, której Szaniawski miał się pół wieku temu oświadczyć. Nie przyjęła oświadczenia, bo jak mi to mówiła, nie tyle pan Jerzy się jej nie podobał („Owszem, bardzo mi się podobał; bo zawsze podobali mi się dziwacy w aureoli tajemniczości”), ile nie wyobrażała sobie wyprowadzenia z Krakowa do Zegrzynka, a na to byłaby skazana. Czytając książkę Kolińskiej, myśli się o niezaradności życiowej autora „Dwu mostów” o jakimś fatalizmie ciążyącym na losie dramaturga i ograniczeniach, z jakich nie umiał się wyzwolić. Dworek, któremu podporządkował prawie całe swoje życie, spłonął tuż po jego śmierci, a więc okazało się, że wszystkie jego starania nie miały sensu. Kobieta, w której się zakochał i z którą się ożenił w późnym wieku, była wariatką maltretującą go psychicznie w ostatnich latach życia. Ba, potrafiła tego mądrego pisarza całkowicie ubezwłasnowolnić... Niezwykły, prawie niewiarygodny los wielkiego dramaturga z kryminalnym finałem... Jego szalona żona opiekująca się wielką ilością kotów, podrabiająca jego charakter pisma i wysyłająca pod jego nazwiskiem setki podań i listów do Ministerstwa Kultury,

różnych osób i instytucji, ba, pisząca kiczowate dramaty i podpisująca je jego nazwiskiem, tak że specjaliści od Szaniawskiego mozolili się później nad rozróżnieniem rękopisów pana Jerzego od falsyfikatów.

A jeśli mowa o Carlotcie, to w moim ogrodzie w Borzęcinie rośnie „krzew Carloty”. Kupiłem go jako miniaturkę w doniczce na jej 90. urodziny, ale przez roztargnienie wybrałem się na uroczystość do nowohuckiego centrum kultury o tydzień za późno, a gdy stwierdziłem pomyłkę, zasadziłem krzew w Borzęcinie i dziś wyrósł, dorównuje wzrostem modrzewiom.

Z zainteresowaniem przeczytałem też eseje Wojciecha Karpińskiego „Fajka van Gogha”. Cóż to za pasjonujący i przeraźliwie bogaty biedak!... Kiedyś pewnie odwiedzę miejscowość, gdzie genialny artysta się urodził, bo w bliskim sąsiedztwie znajduje się dom rodzinny holenderskiego zięcia Hansa, ojca moich wnuków: Niny i Jasia.

W książce napisanej z wielkim znawstwem, a równocześnie przejrzyście i mądrze, najpiękniejsze są oczywiście obszerne fragmenty listów Yincenta do brata Theo. Czytałem je kiedyś, ale teraz z wielką przyjemnością odświeżyłem ich lekturę. W jednym z listów van Gogh pisze: „Czy grzechem jest kochać albo pożądać miłości, albo nie móc już wytrzymać bez miłości? W moim przekonaniu życie bez miłości jest stanem grzesznym, stanem niemoralnym”.

Jego malarstwo elektryzujące intensywnością, zmysłowością, ogromnym ładunkiem przeżywania natury, spotkań z ludźmi, z pejzażem i przedmiotami, jest również wypełnione straszną siłą uczuć. Patrząc na obrazy van Gogha, ma się wrażenie, że ich autor w przyływach twórczego natchnienia spalał wszystko wokół siebie i był spalany przez piękno, Piękno, które go musiało nie tylko zachwycać, ale i porażać. Ten jeden z najbardziej szczytnych, tak srodze doświadczonych chorobą i cierpieniem geniuszy, malował swoje obrazy z furją i radością, a potem płacił za te niesłychane przyływy mocy twórczej i jasnovidzenia – atakami choroby, depresji, niewiary.

Zauważyłem przy czytaniu tej skądinąd znakomicie napisanej książki oznaki zadufania u wybitnego intelektualisty, jakim niewątpliwie pan Wojciech Karpiński jest. Mianowicie wydaje mu się – a przynajmniej tak to odczytałem – podobnie jak innym uczonym krytykom, że skoro tak mądrze potrafią opisywać dzieło artysty, analizować je i komentować – są temu artyście nieomal równi, ba, mądrzejsi od niego. Wobec tego mogą wejść z nim w jakiś rodzaj poufałości, zażyłości, pobratymstwa, ba, prawie poklepywania. Jeszcze chwila i pan Wojciech napisze – Ja i van Gogh.

Hola, hola, wiedza to nie wszystko, to za ledwie wiedza. Miałbym ochotę to powiedzieć każdemu z panów krytyków, którzy skoro zajmują się w Polsce Miłozsem, to wydają im się, że są Miłozsami (patrz pogardliwie na innych pisarzy), skoro zajmują się Szymborską, to wydają im się, że są Szymborską. To samo, gdy zajmują się Różewiczem, Herbertem... i tak dalej.

Van Gogh malował, tak jak malował, bo miał po prostu tę straszną (bo uskrzydającą i samoniszczącą) wrażliwość, straszną wyobraźnię, a nie tylko wiedzę, erudycję, intelekt.

Krytyk ma tylko intelekt.

Za wrażliwość i za wyobraźnię słono się płaci: chorobą, odciętym uchem, osamotnieniem.

A wracając do słów van Gogha o nie-miłości, która powinna być potępiona jako stan nieobyczajny...

Sądzę, że dziś grzechem artystów, poetów, pisarzy naszej epoki, nie tylko w naszym kraju, jest właśnie manifestowany ostentacyjnie brak miłości, czułości, wrażliwości w obrazach, wierszach, powieściach. Oczywiście istnieją kiczowate, sentymentalne czytała, ale mnie przecież nie o taki rodzaj literatury chodzi. Mnie chodzi o sztukę wysokich lotów, jeżeli takowa jeszcze dziś istnieje. A ta bywa zbyt łatwa cyniczna, płaska, epatująca fizjologizmem i prowokacją dla prowokacji.

Sztuka van Gogha jest wielka, bo wynika z wielkiej miłości i namiętności do życia, świata, ludzi... Miłości nieodwzajemnionej, miłości niezaspokojonej, miłości szalonej! To natężenie uczuć, ta ogromna czułość dla najmniejszego detalu na obrazie – nie mają nic wspólnego z chłodnym intelektualizmem, choć niektóre fragmenty listów malarza do brata zdumiewają prostą, rentgenowską wręcz przenikliwością intelektualną...

\*\*\*

„Zawody w bieganiu, które co wieczór przerywa się o określonej porze. Rozlega się sygnał. Wszyscy się zatrzymują; opadają na ziemię; zasypiają. Rankiem rozbrzmiewa sygnał do startu. Wszyscy się podnoszą i zaczynają biec. Wieczorem znów się zatrzymują i z miejsca zasypiają. I tak dzień po dniu; miesiąc po miesiącu; rok po roku. Niektórzy odzwyczajają się od kładzenia wieczorem i zasypiają stojąc. Ci zyskują przewagę”.

(Elias Canetti, „Prowincja ludzka. Zapiski 1942-1972”, przeł. Maria Przybyłowska)

\*\*\*

Wiersze współczesne w przeważającej mierze są mocno przylegają do skóry świata, do estetyki współczesnej. Prawie zupełnie nie biorą pod uwagę czynnika ponadczasowości, dlatego przepadają wraz z czasami współczesnymi i z poetyką tej epoki.

Najważniejsza w poezji jest nie inteligencja, nie nowatorstwo, nie to, że podejmuje ona sprawy i problemy wielkiej wagi, lecz – wielka wrażliwość i czułość, o której Norwid mówił, że „bywa – jak pełny wojen krzyk, / i jak szemrzących źródeł prąd, / i jako wtór pogrzebny... / i jak plecionka długa z włosów blond, / na której wdowiec nosić zwykł / zegarek srebrny ---”.

cdn.

